Nr. 10. Kraków, w październiku 1901 r. Rok II.




Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

†

# SEWER MACIEJOWSKI.

Ciężką i bolesną stratę poniosło we wrześniu społeczeństwo polskie przez śmierć ś. p. Sewera Maciejowskiego, znakomitego powieściopisarza i gorącego patryoty, „którego serce“ — jak słusznie powiedział jeden z mowców pogrzebowych — „pękło skołatane klęskami narodu“. Urodzony w r. 1839; z rodziny obywateli ziemskich pochodząc — ten czystej krwi Polak — nadewszystko Ojczyznę miłując, rzucił się r. 1863 w wir walki o jej niepodległość — a odznaczony zaszczytnym urzędem komisarza rządu narodowego, wśród trudnych warunków działając, dobrze się sprawie przysłużył. Po upadku powstania zmuszony opuścić kraj rodzinny — lat kilka przepędził na obczyźnie, w Niemczech i w Anglii, gdzie badał zwyczaje, obyczaje i charakter tamtejszych mieszkańców — poczem wróciwszy do Polski, doświadczeniem zdobytą wiedzę swą podawał ziomkom w prześlicznych pracach, ucząc ich, jak to gdzieindziej ludzie swobodnie, pracowicie a szczęśliwie żyją, i jak trochę dobrej woli by trzeba, aby i u nas los ludu poprawić.

Następnie ożeniwszy się i osiadłszy na roli, gospodarzył i pisał — pisał i gospodarzył. Serdeczny, gościnny, zawsze uśmiechnięty i dla ułomności ludzkich wyrozumiały — duszę całą Polsce i jej przyszłości t. j. polskiemu ludowi poświęcił. Żył z nim, kumał się i pracował — znał jego radości i bóle — jego nadzieje i wierzenia — i wszystko to w prześlicznych swych książkach opisywał. Wyjątek z jednej takiej powieści podajemy Wam dziś, abyście zapoznać się mogli ze skarbami uczucia jego, oraz abyście rozkoszy doznali czytając, jak wiernie, a szczerze on Was malować umiał.

# Z „Biedroni" — Sewera.

URYWEK.

Jutrzenka zaświtała blado i zimno, wychylając się z poza ciemnych i groźnych gór, zasłaniających świat od południa... W miarę wzmagającego się światła ukazywało się niebieskawo-zielonawe niebo, po którem nizko płynęły rozwieszone płachty ciężkich chmur, napęczniałych deszczem. Szmat ziemi, objęty ludzkim wzrokiem, zatrważał i gnębił ponurością smutku. Zimno przejmowało do kości, nieruchoma martwota przy jękach wiatru w górze i akompaniamencie spadających kropli przerażała, że dusza rada była wyrwać się z ciała i uciec w krainy słońca i rozkoszy ciepła.

Wysokim brzegiem wąwozu, po ścieżce spłukanej deszczem, biegł chłopiec, owinięty płachtą, związaną na grzbiecie w gruby węzeł. W jednej ręce trzymał bat, w drugiej przerzucony przez plecy słomiany chochoł. Płócienne, zawinięte do połowy łydek portczyny, okrywały chude, czerwone nogi, z poza okrągłej czapki, spadającej na uszy, wyglądały duże, zadumane, niebieskie oczy i chuda, drobna twarzyczka. Biegł, przebierając szybko nogami, batem świstał i dla dodania sobie odwagi rozmawiał z czworgiem bydła, grzęznącem w ciężkiem błocie wąwozu. Skulone od zimna krowy oglądały się, rade wrócić do ciepłej stajni.

— Czarnula, czego patrzysz?! — zawołał. — Wtorucha, tybyś rada do domu! A myślisz, że ja nie?... Ale kiej mus, to mus — pchaj się w górę i już. Widzisz, jałowice rzną ci, aż miło.

Wtorucha zaryczała smutno, zawtórowały jej Czarnula i jałowice.

— Byle ino wydrapać się na błonie, trawki będzie w bród. Mokra ci, zimna, ale zawsze lepsza, niż próżny żłób — pocieszał ją chłopiec.

Czy świstu bata, czy słów zachęty, dość, że usłuchały Wtorucha z Czarnulą, gramoląc się pod gorę. Na przodzie pomykały raźno dwie młode jałowice.

Pastuszek i czworo bydła stanęło na wielkiej przestrzeni zielonego błonia. Daleko na końcu widnokręgu, otulone mgłą, ciemne góry zamykały świat. Chłopiec oczy w nie wlepił, zdawało się, że idą ku niemu, przyjdą i zgniotą go.

Ponurość straszyła go, gdyby się nie bał ojca, nie troszczył o bydło — uciekłby. Spojrzał dokoła — mgła czołgała się po pustem błoniu, czarne olbrzymy zbliżały się. Krowy starały się ciepłym oddechem nozdrzy osuszyć trawę i rozgrzać ją.

Niespodzianie wypadł z poza lasu wiatr, odbił się o błonia i porwał przyczajone do ziemi mgły. Widnokrąg się odsłonił, chaty wyjrzały, drzewa wyswobodziły z topieli, stado wron zatrzepotało skrzydłami i kracząc, odleciało.

Życie się zbudziło.

Chłopak, przestępując z nogi na nogę, szukał oczyma żywej duszy — pusto. Podbiegł ku wygonowi, wpatrując się w ścieżkę, lecącą po pochyłości w jar, otoczony krzakami brzeziny.

Zobaczył i rozśmiał się radośnie, podskoczył, świsnął batem, chciał biedź, lecz się zawahał.

Wśród białych brzózek majaczył skrawek czerwonej spodnicy dziewczynki, ciągnącej na powrozie krowę.

Otulona płachtą, podobnie jak chłopiec — i ona dźwigała na plecach przewieszony przez ramię chochoł słomiany.

Nie mógł ustać — poleciał.

— Zośka, to i ciebie wygnali! — wołał zdaleka.

— Sama poszłam — odpowiedziała. — Ociupinka siana w stodółce i już go w lecie spaść?

— Mnie kazali, chociaż u nas koniczyny huk.

— Łakomi — szepnęła.

— I jak — zawołał chłopiec. — Zaczekaj, pomogę ci starą pognać.

— Tylo jej czasem, Jasiu, batem nie luń. Krowisko ledwo co racice ciągnie za sobą.

— Ja ci też bardzo łakomy na bicie?

— Prawda, ty do bicia? — poświadczyła dziewczynina, okręcając powróz około głowy starej.

— Będzie nam raźniej — odezwał się chłopak. — Byłem sam na pustem błoniu i strasznie czegosik bałem się, choć nie wiem, czego.

— Będzie nas ino dwoje, bo nikt bydła na takie zimno nie chce gnać.

— A niechta — odrzekł — samym lepiej.

Dobry humor chłopca rósł, świsnął batem i uchwyciwszy za płachtę dziewczynę, ciągnął ją pod górę z całych sił.

— Ej, Jaś, nie zbytkuj, nożyska mi z zimna ociężały jak kłody.

— Zagrzeją się — i moje zmarzły. Lećmy, bo jak Wtorucha zmiarkuje, że mnie niema, wyprowadzi bydło na organistowy groch.

Dzieci, ująwszy się za ręce, biegły pod górę, za niemi stara, jak mogła, zbierała nogi.

Przeczucia Jasia sprawdziły się. Wtorucha, z początku wolno, później coraz prędzej, posuwała się w stronę organistowego grochu, prowadząc za sobą Czarnulę i dwie jałowice.

— A co? — zawołał Jaś i pogalopował co mu sił starczyło. — Zośka, zabiegaj od drogi!

Dwie białe plamy mknęły po zielonawem błoniu, usiłując przeciąć drogę nieprzyjacielowi.

Zosia pierwsza dopadła do grochu, stając w poprzek Wtorusze. Zmierzyły się wzrokiem. Wtorucha rzuciła się na lewo. Czarnula za nią, lecz na lewem skrzydle spostrzegły pędzącego chłopca. Wzięte w dwa ognie, cofały się wolno, spoglądając żałośnie na łaskotliwie szeleszczącą ławę zieleni.



SEWER MACIEJOWSKI.

Dzieci, zmęczone, złączyły się, pędząc przed sobą nieprzyjaciela.

— Widzisz Jaś, i mojej starej zachciało się grochu, przyderbała za drugiemi — zaśmiała się Zosia.

— A tobie się chce? — spytał Jaś.

Stanęli. Chłopiec patrzał na dziewczynę — dziewczyna pokazała szereg białych zębów.

— Cóż? — pytał Jaś.

Zosia wciąż się uśmiechała. Chuda jej twarzyczka rozweseliła się, oczy, również niebieskie, jak u Jasia, figlarnie patrzały.

— Kiej ci się zachciewa, to leć! Ja stanę na kretowisku i będę się rozglądał.

— Leć sam, tyś starszy — szepnęła.

— A lećże — nalegał chłopiec. — Przyczaj się w bruzdzie i rwij, ino się wyciągnij i leż, póki nie zawołam.

Zaczęli szukać starego, twardego kretowiska i gdy je znaleźli, Jaś stanął na niem, a dziewczynka, czając się, dotarła do grochu i zniknęła w jego zieleni.

Żywej duszy na Bożym świecie, wiatr tylko jęczał w górze, wył w rozpadlinach wąwozów i gnał ciemne płachty chmur, szarpiąc je na strzępy. Mgła uciekała, doganiał ją, zwijał w kłęby i rzucał na szczyty czarnych gór. Jaś usta rozwarł, oczy wytrzeszczył, chłonąc w siebie obrazy przyrody. Zapatrzony, zapomniał o leżącej w grochu dziewczynie.

Zosi serce biło ze strachu, że ledwo oddychać mogła. Szarpała strączki, chowając je w zanadrze i co chwila podnosiła głowę, spoglądając na wartującego Jasia.

Gwałtowne jęki wiatru trwożyły ją, nie mogła dłużej wytrzymać — wyczołgała się i, uszczęśliwiona z dokonanego czynu, podleciała do chłopca.

Tupot bosych nóg dziewczęcia po murawie zbudził Jasia, obejrzał się.

— Mam — szepnęła. — Nikt nie widział?

— Nikt — odpowiedział, zeskakując z kretowiska.

Pokazała mu z tryumfem schowane za koszuliną strączki.

— Wiesz co, Jaś — mówiła — tu, na wielkiem błoniu wiatr hula i smaga, że trudno ustać. Pognajmy bydło w dół, pod samą świerczynę, przytulimy się do niej, będzie ciszej...

Radę Zosi zadumany chłopiec przyjął w milczeniu, zwrócił się do bydła, dziewczynka pobiegła do swej starej.

Świerczyna smutna i ciemna zawładnęła jarem, schowanym na spadzistej pochyłości błonia. Czarne, zamyślone, ponure drzewa stały podobne Prusakom na linii bojowej. Wiatr zrywał się gwałtownie i padał na ziemię — dwoje dzieci przykucało, chwytając się rękoma murawy ze strachu, aby ich nie porwał. Bydło szło wolno, odwracając się co chwila, wiatr tamował im oddech i utrudniał pochód... Przez szczeliny poszarpanych chmur wypadło parę snopów jaskrawego światła, rozweselając twarze dzieci radością.

— Słonko! — zawołał Jaś.

— Słonko! — powtórzyła za nim Zosia.

Raptem ucichło i rozkoszne ciepło rozciągnęło się po ziemi. Bydło je przywitało rykiem, dzieci okrzykami, pędząc z całych sił na dół, do przystani świerków.

Zanim dobiegli, słonko zasłoniła lecąca po niebie czarna płachta, zatrzymany wiatr huknął z większym jeszcze impetem. Dzieci padły na ziemię, bydło spuściło łby... Chmura przeleciała — dzieci znowu, korzystając z chwilowej ciszy, pomknęły za pędzącem bydłem.

Nad brzegiem jaru, zmęczeni, kucnęli, Zosia wysypała na murawę groch, łuskali go i jedli...

— Dygotałam, leżąc w bruździe — opowiadała. — Organista, skąpiec, do piekłaby poszedł za tą odrobiną grochu.

— Abo mój tatuś lepszy — przyświadczył Jaś.

Łakoma Stara zbliżyła się do nich. Zośka dawała jej łupiny z grochu, aby śladu nie zostawić.

— Mam patyczki — odezwał się tajemniczo chłopiec.

— Masz!? Zrobimy ogieniaszek i zagrzejemy się.

— Zrobimy! Na Matusowem polu rosną hameryki, a jakie ci wielkie! — widziałem.

— Nie pójdę za nic — zawołała Zosia — boję się! My z matsią chudobne, toby nas okrutnie sponiewierali. Tyś bogacz, leć sam.

— Ja ogień rozpalę — tłómaczył się chłopiec.

— Ja rozpalę, a ty leć...

Chłopiec milczał, łamał suche gałązki z drzew, znosił je na murawę i układał na stos. Zosia mu pomagała. Na podpałkę ugrabili rękami suchego igliwia, Jaś kozikiem uskrobał ze starego świerka żywicy. Wszystko gotowe, tylko stos podpalić.

Położyli się oboje na ziemi, chłopiec wyjął patyczki, dziewczyna wyprężyła róg płachty, podsuwając go chłopcu do potarcia. Zapałka strzeliła, błysnął niebieskawy ogień, dzieci zatrzymały oddech. Jaś podsuwał igły do ognia zapałki, Zosia trzymała żywicę. Igliwie buchnęło płomieniem i przygasło. Zaczęli dmuchać, przyciągając suche gałązki. W górę wznosił się dym, a z dołu pokazywał się czerwony, wesoły płomień, pryskając iskrami.

Uzbierane gałęzie kładli na ogień i dmuchali, dopóki płomień nie buchnął.

Usiedli przed ogniskiem i Jaś znowu posmutniał. Milczenie chłopca i jego smutek zaciężyły na sercu Zosi. Spoglądała na niego ukradkiem nieśmiało, lecz długo nie mogła wytrzymać milczenia.

— Jaś — rzekła z odcieniem wymówki — markocisz się na mnie, że nie chcę lecieć po hameryki. Ja się boję, jestem przecie mała. Ludzie-by nam nie darowali. Kazałeś iść po groch — poszłam, ale po hameryki — bój się Boga?...

Urwała, wpatrując się smutna w ogień. Żalem swym rozbroiła chłopca.

— Lubisz pieczone? — spytał.

— Lubię Jasiu — odpowiedziała słodko.

Chłopiec pochwycił bat, zerwał się i świsnął nim.

— Pilnuj bydła i ognia — dał rozkaz i z miną hardą kopnął się w górę.

Dziewczyna spojrzała na bydło, położyła parę gałązek na ogień i ciekawie wpatrywała się w biegnącego chłopca. Na górze wiatr nim szarpał, wydymając białą płachtę, lecz chłopiec skłaniał się ku ziemi, i szedł śmiało. Za chwilę zmienił się w białą plamę na ciemnej murawie... Plama zaczęła się rozpływać w szarawo-niebieskawem przeźroczu i rozpłynęła. Wiatr zawył żałośnie, dziewczyna została sama. Strach ją ogarnął, bała się o chłopca.

— Gotowi go zbić, a to takie nikłe — powtarzała.

Ciarki ją przechodziły po skórze i żal dźgał w samo serce. Dla skrócenia czasu przywołała Starą, głaskała ją po szyi i tuliła się do niej. Zmrużyła oczy i widziała, jak się Jaś skrada, czai, chwyta za krzak, pociąga w górę i wybiera z pod niego ziemniaki duże i białe. Drżała o niego...

Niedługo w górze na szerokim płacie murawy zamajaczyła biała plama, staczając się z błyskawiczną szybkością na dół. Dziewczynka się zerwała, patrząc wystraszona, czy kto nie goni. Chłopiec biegł sam, dopadł do ogniska, ukląkł przy niem i ciężko oddychał.

— Nie udało ci się — szepnęła Zosia.

— Ludzie się kręcą — odpowiedział.

— Ludzie się teraz okrutnie kręcą — przyświadczyła i rada, że nie przyniósł ziemniaków, poprawiła ogień.

— Zośka — odezwał się po chwili — u was przecie są hameryki.

— Malutko!...

— Leć, przynieść, choćby ze sześć, powiedz matusi, że na odwieczerz odniosę...

— Okrutny kawał, wietrzysko gotowe mnie znieść do paryi — prosiła go.

— Głupiaś, dałabyś się wiatrowi, a weź i ociupinkę soli.

Zośka widocznie wahała się.

— Lecisz? — nalegał chłopiec.

— Czegoś się stracham.

— Chodź, podprowadzę cię do połowy drogi.

— Starej będzie się cnąć bezemnie.

— Chodź — prosił chłopak idąc naprzód.

Zośka otuliła się płachtą i powoli poszła za nim. Na wyżynach ujął ją za rękę. Szli razem, opierając się napadom wiatru. Kładli się, gdy ich chciał porwać, a gdy przycichł, zrywali się i biegli dalej.

Dziewczyna zniknęła w brzozowych krzakach, chłopiec przykucnął. Myśl zdobycia ziemniaków i upieczenia ich pochłaniała go.

— Są — zawołała zmęczona Zosia.

W jednym rogu płachty miała związane ziemniaki, w drugim ociupinkę soli.

Ognisko przygasło, okrywając się białym puszkiem popiołu, pod którym żarzyły się węgle. Dziewczynka rozwiązała róg płachty, podając ziemniaki chłopcu. Jaś biczyskiem robił dołki w ognisku, rozsuwając węgle, kładł jeden po drugim i zasypywał popiołem.

Ostatni ziemniak znikł im z oczu, praca skończona, westchnęli głęboko. Zosia radośnie patrzała na chłopca, Jaś dumnie się uśmiechał.

Pierwszy raz w tym roku piekli w polu ziemniaki.

W skupieniu ducha, siedząc przed spaleniskiem, czekali.

— Jaś, może już — pierwsza odezwała się dziewczyna.

W odpowiedzi chłopak odgarnął popiół z ziemniaka — spróbował.

— Już! — zawołał — śpieszmy się, bo się spalą. — Odkrywał ziemniaki biczyskiem, Zośka chwytała je palcami i odrzucała.

Otarte z popiołu rozdzielali na pół, solili i dmuchając jedli. Łakoma Stara przysunęła się. Zośka musiała się z nią dzielić.

— Smakują ci? — rzuciła pytanie chłopcu z odcieniem dumy.

— A tobie?

— Jeszczeby nie? Na takie zimno, gorące, młode, soli huk.

— Zróbmy teraz taki ogień — zawołał Jaś — żeby aż pod niebo szedł!...

— Żeby się i Stara przy nim zagrzała — dodała Zosia.

Zsunęli się na samo dno głębokiej paryi szukać gałęzi. Wydobyte z igla i mchu wyciągnęli na brzeg, układając stos.

Ogień nie mógł ich objąć, dym czołgał się po ziemi, kręcił, gałęzie syczały, woda z nich kroplami ściekała.

Wiatr uciekł do lasu i legł w rozpadlinach, latające po niebie czarne płachty rzedniały, rozciągając się wolno w przestrzeni... Ocieplało i zrobiło się szaro, nudno, posępnie. Bydło niechętnie skubało trawę, dzieci posmutniały, świerki ściemniały, cały świat zamroczył się, osowiał. Chmury, dotykając prawie ziemi, powoli dźwigały się w górę, z nieba zaczął padać drobniutki deszcz, jakby sitem siał. Parno się robiło, deszcz gęstniał, grubiał, padając na ziemię równo, cicho i szybko.

— Zośka, bierz chochoł — dał rozkaz Jaś — i wpakuj mi go na łeb, potem ja tobie, zmokniemy do cna...

Chłopiec ukląkł obok ogniska zalewanego przez deszcz, dziewczyna rozpostarła chochoł i nasadziła mu na głowę. Chłopiec zrobił jej to samo.

Dzieciaki przytulone do siebie przez szczeliny zrobione w słomie, okrywającej im głowy i strumienie lecącej z nieba wody, patrzały na bydło. Cisza i ołowiana senność zamykała im powieki.

— Zosiu — szepnął chłopiec — patrzże na bydło, ja nie mogę se rady dać i na Zdrowaś Marya zamknę ślepia.

— A ja mogę — odpowiedziała z odcieniem wymówki.

— Tobie łatwiej, ty się kiej bądź zdrzemiesz, mnie nie dadzą.

Oparł głowę okrytą chochołem o ramię dziewczyny, zmrużył oczy i w tej chwili usnął. Dziopa wytrzeszczała swoje, patrząc na bydło, póki mogła, póki jej starczyło sił. Lecz i do niej przyszła zmora ulepiona z mgły, cicha jak śmierć i zamknęła jej oczy, a głowinę przechyliła na chochoł Jasia.

Deszcz równo i spokojnie padał, mgła wielkiemi kłębami wydobywała się z paryi, ciepło ją gnało w górę, cisza okryła ziemię, świat odrętwiał.

Dzieci spały, bydło mokło, mokra, chuda trawa nie smakowała mu. Wtorucha mądra poszła skryć się pod drzewa, pośliznęła się, porwana własnym ciężarem poleciała na dół — odbita od drzewa stoczyła się na samo dno. Przewróciła się, zimny strumień, wzbierając obmywał ją; z bólu i ze strachu cicho jęczała. Czarnula i dwie jałowice cofnęły się od paryi i świerków, rycząc żałośnie. Stara podeszła do Zośki, ochuchiwała ją, a potem ściągnęła jej chochoł z głowy. Dziewczyna rozwarła oczy, obejmując wzrokiem bydło.

— Niema Wtoruchy? — przetarła oczy.

— Niema Wtoruchy! — krzyknęła.

— Jaś zerwał się nerwowo.

— Była ci przed chwileczką — tłómaczyła się.

— Na groch — zawołał chłopiec.

— Ej, nie, boby i drugie za nią poszły.

Nadsłuchiwali.

Głuchy, niewyraźny jęk wydobył się z pod ziemi.

Wytężyli słuch. Jęk się powtarzał.

— Wtorucha w paryi!

Chłopiec uchwycił się Zosi, żeby nie upaść z przerażenia. Trząsł się na całem ciele.

— Jasiu, nie zagubiaj się — prosiła go Zosia, dzwoniąc szczękami.

Chłopak zrzucił z głowy chochoł, załamał ręce, lecz w tej chwili pochwycił bat.

— Leémy — zawołał. — Zośka, jeżeli Wtorucha zginie, ja pójdę za nią!

Dziewczynka ryknęła głośnym płaczem. Wtorucha i ograżający się Jaś padły jej na sumienie takim ciężarem, że go nawet płaczem ulżyć sobie nie mogła.

Chłopak po rozmokłej glinie i ślizkiej murawie zsunął się na dół gorączkowo od drzewa do drzewa, dziewczynina za nim, płacząc rzewnie.

Na dnie strumyka leżała Wtorucha. Woda się nad nią piętrzyła i przelewała. Jaś wpadł po pas do wody, Zosia za nim, krowa podniosła łeb w górę, patrząc miłosiernie na dzieci. Chłopiec gorączkowo przywiązał do rogów krowich bat, biczysko podał Zośce, sam pochwycił krowę za ogon...

Krzycząc i strasząc, zaczęli ją oboje ciągnąć z całych sił.

Wtorucha zrozumiała, że o nią idzie, ściągnęła pod siebie nogi, zebrała siły i zerwała się. Stretwiała, ruszyć się zrazu nie mogła, dzieci nie nalegały. Unurzaną w błocie zmywali, czerpiąc w dłonie wodę.

— Stoi, to jej nic nie będzie — odezwała się Zosia.

— Ale jak ją wyciągnąć z paryi? prosto w górę nie wylezie — mówił zrozpaczony Jaś.

— Gnać ją strumieniem aż na Przylasek i do domu.

— Daleko! kiej wrócimy?...

— Jaś i cóż innego poradzisz?

Chłopak się zamyślił.

— Juści, nie można!... Ha, to gnać!

Zosia ułamała gałąź, Jaś ujął biczysko przywiązane do rogu krowy i poszedł, za nim Wtorucha, za Wtoruchą dziopa.

Na Przylasek daleko, kamienie na dnie strumienia ślizkie i ostre, pochód ciężki — mimo to z oczu dzieci biła radość, zroszone czoła obcierali płachtą. Czuli się uratowanemi cudem od śmierci.

— Bo przecież, gdyby Jaś poszedł za Wtoruchą, Zosia poszłaby za Jasiem. — Tak se myślała.

Stanęli odpocząć i naradzić się.

— Czy ino Wtorucha się wygramoli?...

— Spróbujmy, Jasiu, spróbujmy!...

Jaś wygramolił się na brzeg, dziewczyna podniosła gałąź.

Nagle śmiech, zwiastujący wielką radość, zagrał w powietrzu; Wtorucha rada z siebie, patrzała łagodnie. Zosia wyciągnęła ku chłopcu gałąź.

— A to ci bydlątko — wołał Jaś, ciągnąc gałąź i uczepioną przy niej dziewczynkę.

— Zakpiła se z nas — śmiała się Zosia.

— Moja poczciwa krówko! — Chłopiec zaczął Wtoruchę głaskać i całować.

— A teraz przez Gawlikową miedzę i brzezinkę lećmy do bydła — nalegała dziewczyna.

Lecieć nie mogli. Wtorucha zachromiała mocno na nogę. Jaś pchnął dziewczynę naprzód, sam został z krową. Szli wolno, Wtorucha zatrzymywała się, poskubując trawę.

Zosia zdyszana wróciła.

— Niema bydła! — załamała ręce.

— Uciekło do domu — szepnął Jaś zrozpaczony.

Gorąco mu się zrobiło; gwałtownie wydobył się z płachty, czapkę rzucił na ziemię, ręce zanurzył we włosy i targał je.

— Gdzie się teraz podzieję?... Jezu Chryste, ratuj mnie!

— Cicho, cicho — utulała go Zosia. Ból ją przejmował, a serce szarpały wyrzuty sumienia.

— Matsia, gospodarz, parobek, Kunda, wylecą szukać Wtoruchy. Gospodarz mnie spiorą na śmierć...

— A bo to nie twój tatuś!?...

— Właśnie że tatuś, to będzie prał bez upamiętania...

— Chłopiec zalewał się łzami.

Zosia zbliżyła się do niego, jedną ręką objęła go za szyję, drugą obcierała mu oczy płachtą.

— Cicho, cicho, moje dziecko — pocieszała go. — Wiesz co, ja odpędzę do waszych wrót Wtoruchę — ty leć do nas. Zjesz gorącego żuru z ziemniakami i na górę w siano się zakopiesz.

Chłopak przestał płakać, rozważał.

— Ojciec się wyzłoszczą, matsia wylamentuje i zapomną — pocieszała go Zosia.

— A kto od południa wygna bydło?

— Deszcz leje, Wtorucha kulawa. Mało ci to mają w stodole koniczyny.

Podniosła czapkę, nasadziła na głowę chłopca, okryła go napowrót płachtą, do ręki podała bat, gałęzią postraszyła Wtoruchę — poszli.

— Co się dzieje z twoją Starą? — spytał, siląc się na spokój chłopiec.

— Stara — zawołała Zosia — zna ci ona drogę do chaty, wie, że ją tam czeka woda ziemniaczana i łupiny z hameryków. Ho, ho, moja Stara mądra. To ci ona mnie zbudziła, gdy Wtorucha wpadła do paryi!

Zosia zwróciła się do Wtoruchy.

— Oj, ty zbytnico, cóżeś nam narobiła. A tak się dobrze zaczynał dzień.

— Dobrze się zaczynał — poświadczył chłopiec — i westchnął.

— Jaś, prawda, że nikt nie wie, skąd nieszczęście przyjdzie?...

— Nikt! — szepnął.

Chłopiec poddawał się wpływowi dziewczynki, a ona bezwiednie uczuwała przewagę nad nim.

Deszcz równo, cicho i spokojnie padał. Na wielkich błoniach mgła wyglądała z trawy, czołgając się nizko. Deszcz ją bił, a zimno dusiło. Szare chmury nizko zwieszone nad ziemią, cienkie strugi deszczu, żółta woda rozlewająca się szeroko po błoniu i na wielkiej płaszczyźnie dwoje dzieci, uginających się pod ciężarem zmoczonych chust, posuwało się wolno pod górę...

## Pieśń niewolnika.

Na zrębie skał niewolnik stoi
I patrzy w siną toń —
Muzyką fal swą duszę poi,
Na lutni wspiera dłoń.

Jak wolny ptak od więzów cieśni,
Myśl w mroczną leci dal —
A z piersi głos potężnej pieśni
Wraz z szumem płynie fal...

On włożył w pieśń tę duszę całą,
Milionów łzy i ból...
A morze dalej pieśń tę grało...
Aż ją usłyszał król...

I rzecze doń: „O niewolniku:
„Dla kogo wznosisz śpiew?
„Wśród szumu fal, wśród burzy ryku,
„Wśród świstu białych mew.

„Nadchodzi noc, — gdy słońce zajdzie,
„Na zrębie groźnych skał,
„Gdzie twoja pieśń słuchacza znajdzie,
„Coby ci poklask dał?

„W pałacu mym tysiączne blaski
„I cudnych dziewic rój —
„Tam zbierzesz plon monarszej łaski,
„Tam uczczą rapsod twój.

„Tam twoją pieśń uznanie spotka.
„Wawrzynu złoty liść,
„Tam sława, cześć i rozkosz słodka...
„Chciej tylko za mną iść!“

A na to rzekł niewolnik hardy:
„Nie dla was jest mój śpiew!
„Bo moja pieśń jest pełną wzgardy,
„I zemstą pali krew.

„Ma lutnia dziś nie zabrzmi dźwiękiem,
„Co budzi słodki szał,
„Odgłosem klątw i kajdan brzękiem
„Mój śpiew by tylko brzmiał.

„Więc zostaw mnie tu na tej skale —
„A mojej lutni ton
„Prześcignie wiatr i morską falę —
„Za morze pójdzie on!

„Powróci znów na ojców ziemię,
„Gdzie cięży ręka twa...
„I zbudzi lud, co dotąd drzemie,
„Śpiącego zbudzi lwa!“.

*El...y*

## I. Zjazd przemysłowy w Krakowie.

W połowie września zjechali się do Krakowa przemysłowcy, ludzie dobrej woli, gorący patryoci i rozumni obywatele z wszystkich ziem Polski, aby radzić nad podniesieniem naszego, rodzimego polskiego przemysłu. Mówiono więc o fabrykach, warsztatach, o ciężkiej doli i biedzie, z jaką walczyć muszą wśród trudnych warunków obecnych polscy przemysłowcy i rękodzielnicy, którzy dotąd, mimo wysiłków wielkich i poświęceń, nie zdołali sobie zdobyć należytego uznania w Europie, ani pola zbytu dla swoich wyrobów.

Między innymi sprawozdawcami wystąpiła też na posiedzeniu sekcyi, pani Antonina Sikorska z Czernichowa, znana Wam, bo niejednokrotnie w *Przodownicy* zamieszczająca swe artykuły gospodarskie — i w pięknem swem a gorącą miłością ludu tchnącem przemówieniu dała obraz nędzy kraju, z powodu braku rozwiniętego wśród włościan naszych przemysłu domowego — oraz rzuciła kilka zdrowych myśli, jakby temu groźnemu nieszczęściu zapobiedz.

Przemówienie to podajemy Wam, drogie Czytelniczki, w streszczeniu.

„Wielkie wychodźctwo ludu polskiego, dążącego za zarobkiem w świat zamorski, lub do Prus i Saksów śmiało można uważać jako klęskę, wyniszczającą naród nasz bardzo; bo lud ten zmuszonym tam bywa do wynarodowienia się, a krajowi ubywają przedsiębiorczy ludzie, którzy pracą swą bogacą obce plemię. Dlatego usiłują władze krajowe wyszukać środki zapobiegające wychodźtwu, ale ani środki policyjne, ani nawoływania duchowieństwa, ba nawet wstręt ludu samego do tegoż wychodźtwa, przeciwdziałać skutecznie temu nie mogą, bo bieda, spowodowana brakiem zarobku w kraju jest tak wielką, że dla podtrzymania tego biednego bezdomego życia, widzimy corocznie krocie ludu idącego w świat sobie obcy, na prześladowanie jego wiary, języka i przyrodzonych cech narodowych.

Kto żyje między ludem, a wysłucha skarg jego, na krzywdy wszelkiego rodzaju obcem prawem mu zadawane, kto widzi, jak polskiego chłopa Niemcy urabiają powoli na ciężkie, bezmyślne, fabryczne zwierzę, któremu musi z czasem zobojętnieć ziemia rodzinna, własna mowa, wiara i moralność, kto to widzi i słyszy, temu nie wolno dalej pozostać bezczynnym, bo nie miałby prawa mienić się Polakiem.

Nieustannie słyszy się, że ubóstwo kraju na-

szego wypływa z braku oświaty, lecz rzeczywiście oświecić lud może tylko wydatna praca! Bo prawdziwa oświata jest wypływem dobrobytu i krzewić się naturalnie może tylko wtedy, gdy pierwsze potrzeby są zaspokojone.

Ziemia rozdrobiona, niedbale uprawna, coraz mniej zajęcia daje, więc chłop próżnuje — bo i co ma robić? Niemcy utkają mu koszulę i materyał lichy na przyodziewek, a żydowscy krawcy uszyją. Niemcy uplotą mu ze słomy kapelusz,



Tylko praca umiejętnie wykonywana daje prawdziwe szczęście, dobrobyt i moralność. Lud nasz, jeżeli nie wyjdzie za granicę na zarobek, większą część roku próżnuje, zimą z oszczędności światła sypia po dwanaście godzin na dobę.

lub ubiją czapkę. Niemcy utkają dla bab perkal na spodnice, kaftaniki, uprzędą wełnę na chustki ciepłe, lub ozdobne i utkają w pasy, lub wzory do ich smaku i mody. Niemcy zrobią pończochy, skarpetki, barchany, flanele, dymy, koce, dywany,

firanki, nawet tańsze, lżejsze buciki, szlarki haftowane i koronki, a nasz wieśniak śpi zimą dwanaście godzin, a drugich dwanaście, jeżeli czuje jeszcze trochę grosza w kieszeni przyniesionego z zagranicy, przesiedzi w karczmie.

Toć przecie jasne, że aby wieśniak został w kraju i dobrze mu się działo, potrzeba. żeby mógł pracować umiejętnie, potrzebuje się swego fachu nauczyć, a aby się mógł uczyć, potrzeba, żeby miał szkoły, w którychby go uczono pracować. Tymczasem patrzmy, jak mało przystosowaną do jego przyszłego życia wieśniak pobiera naukę. Po skończonych sześciu latach dziecko wiejskie rozpoczyna naukę szkolną — którą kończy zazwyczaj w jedynastym, dwunastym roku życia; więc umie nieźle czytać, pisać, rachować i trochę ustaw gminnych pamięciowo.

Ma wprawdzie młodzież wiejska obowiązek po skończeniu szkoły ludowej chodzić dwa razy na tydzień na naukę dopełniającą, w celu odświeżania sobie w pamięci sztuki czytania, pisania i rachowania, na ustępach traktujących obowiązki rolników, ale ustępy te nie poparte okazami i doświadczeniami rolniczemi, mało budzą zajęcia, a cała nauka dopełniająca, jest bezcelową dla ludu, który rzecz tę dobrze rozumie, że aby nauka dopełniająca dopełniała braki w jego wychowaniu, powinna i praktycznie zaznajomić go z zawodem rolniczym, rolniczo-przemysłowym lub rękodzielniczym.

Aby nam nasze wnuki nie złorzeczyły kiedyś za zmarnowany czas i zatracone dzieci tej ziemi, pierwszym obowiązkiem naszym niechaj będzie: nauczyć chłopa pracy produktywnej, następnie pracę tę zorganizować, ustrzedz od niesumiennego pośrednictwa, a w końcu wystarać się o miejsce zbytu. — Z tem zwracam się najpierw do kobiet, o których poeta mówi: „że nie zginęła jeszcze ojczyzna, pokąd niewiasty w niej czują“, byśmy utworzyly związek silny, którego celem byłoby zakładanie po wsiach szkółek przemysłowych, bo gałęzi przemysłu dającego się wytwarzać rękami, lub ręcznemi maszynami i warsztatami jest bardzo wiele. Odpowiednio do warunków miejscowych, poszczególne gałęzie wprowadzajmy, w miarę nauki i wprawy każda gałąź w swojej gminie udoskonalając się może liczyć na zbyt, o który zabiegać będziemy za pomocą wystaw, ogłoszeń, wysprzedaży we własnych sklepach. Przedewszystkiem na pierwszem miejscu na uwzględnienie zasługują te działy wyrobów ręcznych, które spotrzebowanemi być mogą przez samych wieśniaków, a więc tkactwo, zacząwszy od cienkich płócien, a skończywszy na grubych workowych tkaninach i chodnikach ze skrawków i szmatek, których stosy zalegają nasze śmietniki. Często się słyszy, że fabryczne tkactwo psuje konkurencyę tkactwu na krosnach; o ile wiem, jest to nieuzasadnionem, bo płótno krajowe nie jest droższem od zagranicznych, a stanowczo jest lepszem. Również perkale, barchany, dymy, szirtyngi najlepszej wartości dadzą się na warsztatach wyrabiać. Gmina Wilkanowice przed wprowadzeniem tkactwa ubierała się w tandetne fabrykaty zagraniczne, dziś wstydzonoby się lichoty sklepowe nosić; własne dzieci utkają materyał na bieliznę i suknie kobiece, cajgi na męskie ubranie, a zbyteczny towar wyszlą na sprzedaż do gmin sąsiednich. Wyobraźmy sobie, że gmina sąsiednia wyrabia pończoszkowe towary ręcznie i na maszynach ręcznych, to jest pończochy, skarpetki, kaftany trykotowe, grube wełniane, wchodzące teraz u ludu w użycie, czapki drutowe, kamasze, ciepłe rękawice wełniane i lekkie bawełniane; inna gmina słomkowe kapelusze, inna znów dywany smyrneńskie, inna koce, grube sukna, inna udoskonala na wzorach krajowych haft ręczny i maszynowy, dostarcza na wywóz szlarek, firanek, nakryć na stoły; inna rozwinęła ciesielski kunszt i stolarski; w innych rozwija się koronkarstwo, wyroby drzewne, skórkowe rękawiczki, wyrób kilimów i t. d. Chłop, któregoby dobry i zyskowny zarobek zatrzymał rok cały na roli, z pewnością inaczej obrabiałby pole, w końcu przy takich szkołach dopełniających jego wychowanie, w którychby specyalnej gałęzi uczył zdolny i biegły nauczyciel, mógłby być uwzględnionym wykład rolnictwa i hodowli zwierząt domowych, poparty okazami, jakich zawsze wieś nastręcza. A więc do przeistoczenia doli kraju na lepsze potrzeba tylko, by kobiety polskie zaczęły tę pracę i złożyły się na pierwsze potrzeby. Możemy być pewne, że poczciwe nasze wysiłki poprą rady szkolne, wydział krajowy, towarzystwa gospodarcze, kółka rolnicze i inne krajowe instytucye, potrzeba tylko, by nasze zespolenie się było liczne i rozumne, świadome swoich celów i przezorne w wyborze środków, wolne od uprzedzeń.

Jednym ze stałych dochodów, na który liczyć możemy, jest opłata uczniów i uczennic, którzy chętnie złożą kwotę, na jaką ich stać, byle nauczyć się czegoś użytecznego. W pierwszej szkółce tego rodzaju, jaką założyła dla dziewcząt miejscowa inteligencya czernichowska na gminy Czernichów, Pasieka i Czernichówek, nawet nie zaszła potrzeba upominania się o zaległą opłatę; wszystkie na pierwszego spieszyły ze swoją ko-

roną, a garnęły się tak chętnie do szkółki, że zmierzch ledwie mógł zmusić ich do opuszczenia izby na ten cel wynajętej, a uczyły się koronek, szycia, haftu i kroju kaftaników i staników przez nich noszonych. Na rok przyszły wprowadzamy dla chłopców naukę wyrobu kapeluszy, dla dziewcząt grubsze tkactwo.

Kończąc niniejsze słowa pozwalam sobie z prośbą ostatnią zwrócić się do tych, którzy raczą je czytać. Nie dajmy opanowywać się wątpliwościom; plan jest duży, to prawda, ale miłość tworzy cuda, a my przecie kraj nasz kochamy więcej, jak inne kobiety kochają swoje wielkie bogate ojczyzny, jesteśmy przecie szafarkami majątków rodzinnych; jeżeli grosz każdy użyjemy w interesie rodziny, uwzględniając przytem interes wielkiej rodziny, wtedy stworzyć możemy dzieło wielkie i w owoce bogate".

Na zakończenie wniosła sprawozdawczyni następującą uchwałę:

„Wzywa się społeczeństwo polskie do poparcia rozpoczętej pracy naszej przez przystępowania do sekcyj przemysłu domowego, którego celem: popieranie przemysłu krajowego i domowego, zarazem szukanie nowych gałęzi pracy, mogących podnieść dobrobyt i oświatę kraju przez:

1) Staranie się o zakładanie szkółek zawodowych prywatnych.

2) Szkołom takim istniejącym już w kraju — nadawanie kierunku opartego na wzorach krajowych.

3) Staranie się o urządzanie wystaw i odczytów w kraju (wystaw stałych — wędrownych). Upatrywanie miejsca zbytu, organizowanie biur pośrednictwa, staranie się o zastąpienia towarów zagranicznych wyrobami krajowymi.

4) Ogłaszanie konkursów na najlepsze wyroby danej gałęzi.

5) Przystosowanie wyrobów krajowych do ubrań i strojów kobiecych".

# Roboty na listopad.

Sprzęt buraków i warzyw nieraz w ten miesiąc się przeciągnie. Orka pól odbywa się bezustanie. Mierzwę wywozić można i przed zimą przyorać. Zresztą orać tak długo, dopóki mróz nie uderzy. Jak to dobrze mieć jak najwięcej ziemi zoranej przed zimą lub przygotowanej pod zasiew wiosenny (bronować przed zimą nie trzeba). Gospodarstwa buraczne i teraz masę mają do roboty z wywózką buraków i ze zwózką sznycli buraczanych.

Trzeba teraz obmyśleć, czem się zamierza karmić inwentarze przez zimę. Trzeba dobrać paszę odpowiednią i taką, którą paszenie nie wypadnie za drogo.

Podstawą paszy zimowej pozostaną zawsze własne zasoby w sianie, słomie, kartoflach, runklach, sznyclach, kiszonce, kukurydzy. W gospodarstwach fabrycznych przychodzi jeszcze nie jedno inne jak: wywar, słodziny, pulpa i melasa.

Kto sprowadza surogaty paszy, jak makuchy różne i t. p., (paść niemi jest często koniecznem), niech się naprzód przekona, czy też cena za takowe odpowiada zawartości pożywnych składników, boć te ostatnie mogą mieć tylko znaczenie. Dobrze poddać próby rozbiorowi chemicznemu (na stacyach doświadczalnych, a żądać zawsze odpowiedzialności od sprzedającego).

Ogród warzywny powinien być również nawieziony mierzwą i skopany przed zimą.

# Przechowywanie ziemniaków.

Bardzo ważną robotą, wymagającą zawsze pewnej znajomości rzeczy jest — prawidłowe przechowywanie ziemniaków na zimę. Błędne przechowanie naraża gospodarza na znaczne straty, ponieważ w tym razie mogą się ziemiaki zagrzać, następnie gnić lub wyrastać itp. W tym roku z braku słomy staje się prawie niemożliwem przechować ziemniaki na sposób najlepszy.

Ziemniaki bywają przechowywane na sposób trojaki. Przechowuje się je w sklepie czyli piwnicy. Drobny gospodarz, tak zwany zagrodnik, lubi ziemniaki przechowywać w dole wykopanym w ziemi; ostatnim i z pewnością najlepszym, najwięcej też używanym sposobem jest, przechowanie w podłużnych kopcach.

Przechowywanie w piwnicach ma swe niedogodności. Wypada tutaj sypać w dość grubej warstwie, w której łatwo się mogą zagrzać, jeżeli nie bywają częściej przeszuflowywane. Niektóre odmiany, przechowane w piwnicy nabierają nieraz smaku niedobrego, tak n. p. staje się znany ziemniak „Magnum bonum" w sklepie słodkawy. Mało które gospodarstwo posiada zresztą piwnice bez zarzutu, to jest suche, wolne od zaduchu, dające się łatwo przewietrzać.

Przechowywanie w ziemi może tylko wchodzić w rachubę przy małej ilości ziemniaków. Grunt musi być suchy, a dół urządzić by trzeba przy domu, aby nie psuć powierzchni uprawianego pola. Ale i przy tym sposobie zachodzi obawa zagrzania się ziemniaków.

Najpewniejszym, a zatem najbardziej polecenia godnym sposobem jest przechowywanie w kopcach podłużnych. Usypywanie kopca nie wymaga wiele zachodu, tylko przykrywanie nieco akuratności w wyko-

naniu. Do założenia kopca wybiera się miejsce równe, suche, najlepiej w pobliżu podwórza. Zagłębienia nie potrzeba wykopywać, sypać ziemniaki na równą ziemię, wykopywanie przysparza tylko roboty. Kopiec nie powinien być za szeroki, najwyżej wynosić u dołu 1 i pół metra. Ziemniaki nie mogą spoczywać w zbyt zbitej gromadzie, gdyż w tym razie łatwo się mogą zagrzać. Usypane dachowato przykrywa się cienką warstwą żytniej słomy na półtora do 2 centimetrów grubości. Na to przychodzi warstwa suchej ziemi na 25 centim., którą należy uklepać. Szczyt pozostaje bez okrycia ziemią, pokrywa się go słomą, lub suchemi łętami od ziemniaków tak, aby woda nie mogła do kopca ściekać. Załatwiwszy się z tem, pozostawia kopiec do późnej jesieni, aż do czasu, w którym spodziewać się można mroźnego powietrza. Wtenczas to daje się na cały kopiec dobrą warstwę suchych łętów na 15 centim., na to przychodzi gruba warstwa ziemi pół do trzyćwiercimetrowa, na cały kopiec. Jak się już wyżej powiedziało, powinna być robota wykonaną akuratnie, przeto najlepiej powierzać ją sumiennemu robotnikowi. Pokłady ziemi, mianowicie łętów, muszą być łożone wszędzie równo, aby uniknąć zagłębień i t. p. nierówności. Ziemię do pokrywania bierze się w pewnem oddaleniu od kopca, czasem tuż przy kopcu nie „podkopując się“ pod takowy Byłaby to najlepsza furta dla mrozu i wody do wnętrza. Do kopca należy sypać tylko kartofle zdrowe, nie nabolałe lub zarażone, które wypada już na polu umieszczać oddzielnie. Nic łatwiejszego jak zarazić sobie takiemi ziemniakami znaczną część zawartości kopca.

Łęty ziemniaczane należy po wybronowaniu pozwozić i poukładać na około kopca. W ten sposób przechowane trzymają się ziemniaki bardzo dobrze do wiosny. Tak zwane „kominy“ czyli wiechy ze słomy na szczycie, są nie tylko zbyteczne, lecz nawet szkodliwe, ponieważ takimi otworami przedostaje się wilgoć i mróz. Właśnie nieprzykrycie szczytu po pierwszem obrzuceniu ziemią, ma ten cel, aby ziemniaki mogły wyparować i przeschnąć. Aby ziemniaki na pewno zabezpieczyć przed zaciekaniem, dobrze będzie położyć na słomę, lub łęty, cienką deseczkę, po której woda łatwo ściekać może na boki.

Znakomity galicyjski hodowca ziemniaków, p. Dołkowski w Nowej wsi, kładzie na grzbiet kopca drąg drewniany o średnicy 15 cm. i pokrywa następnie całą powierzchnię długą słomą do tego stopnia, aż pod jej warstwą nie odczuwa się już ziemniaków. Na to przychodzi cienka warstwa ziemi, nie zasypująca wylotu kanału, który ma służyć do wentylacyi. Drąg można posuwać dalej po przykryciu jednej części kopca. Przed nastaniem mrozów przychodzi gruba warstwa ziemi na cały kopiec.

W tym roku nie jeden gospodarz nie będzie miał nawet tyle słomy, aby mógł przykryć ziemniaki na sposób wyżej opisany, przy którym wiele słomy nie potrzeba. W takim wyjątkowym roku można się obyć zupełnie bez słomy, przykrywać kopiec wprost suchą ziemią na 30 ctm. grubości, ziemię należy dobrze uklepać, również zasypywać tworzące się w ziemi szpary. Szczyt przykrywa się tylko słomą lub łętami, na to deseczką. Przed mrozem przychodzi warstwa suchych łętów (wszędzie równo, dokładnie układana), a na to gruba warstwa ziemi. Jeszcze raz zaznaczamy, iż ziemniaki powinny być suche, zdrowe — napsute składać osobno, celem wczesnego zużycia. Łęty, jałowiec lub inny podobny materyał musi być suchy.

## Żołędzie i kasztany jako pasza.

Rolnik niemiecki Huntemann w dłuższych próbach zebrał następujące spostrzeżenia, odnoszące się do użycia żołędzi na karmę dla zwierząt:

1. Żołędzie zielone, surowe, są nieodpowiednią karmą dla bydła rogatego i prośnych świń, jeżeli zadaje się je w znaczniejszej ilości. Często się mianowicie zdarzało, że bydło rogate wskutek spożycia zbyt wielkiej ilości świeżych żołędzi, padało lub tylko z trudem dało się uratować, prośne zaś lochy porzucały. Przyczyną szkodliwości żołędzi, jest znaczna zawartość kwasów garbnikowych w łuskach (do 10%). Natomiast gdy świniom tucznym zadaje się obok innej karmy przeciętnie tylko 1 do $1^1/_2$ kg. żołędzi, służy im to bardzo dobrze, osobliwie gdy mają sposobność równocześnie spożywać tak samo, jak przy tuczeniu żołędziami w lasach, ziemię, korzenie poproci i t. p.

2. Dla owiec żołędzie są zawsze nieszkodliwe i bardzo zdrowe; nadają się one bardzo dobrze do wypasania tych zwierząt.

3. Dla świń tucznych najlepiej żołędzie gotować i po zagotowaniu wodę odcedzać. Wówczas nie tracą świnie apetytu, co przy żywieniu surowemi żołędziami często się zdarza. Przez gotowanie niszczy się również pleśnie, które bardzo często obficie się rozwijają w żołędziach zbieranych podczas deszczów i złożonych potem w grubszej warstwie.

4. Ktoby uważał gotowanie za uciążliwe, niech zalewa żołędzie przeznaczone na karmę w beczce wodą, tak aby woda żołędzie pokrywała. Wskutek ługowania z żołędzi związków rozpuszczalnych, powstaje na powierzchni wody niebieska powłoka. Wodę wówczas należy zlać. Żołędzie w ten sposób przyrządzane, często mocno napęczniałe znoszą zwierzęta o wiele lepiej.

5. Suszenie żołędzi w piecach po wyjęciu z nich chleba, jest również do zalecenia; wówczas omłaca się żołędzie po wysuszeniu w celu usunięcia łupin.

6. Krowy dojne i karmiące lochy dają po żołędziach mleko niezdrowe; prosięta, ssące takie mleko, często zdychają.

7. Zdania o wartości słoniny, pochodzącej od nierogacizny tuczonej żołędziami, są bardzo sprzeczne. Na ogół jednak przeważa zdanie, że świnie żywione żołędziami, a obok tego dobrą karmą treściwą, w szczególności mąką żytnią, dadzą bardzo dobrą słoninę.

Również kasztanami nie trzeba pogardzać, przeciwnie bardzo dobrze je można zużytkować. Prof. Pott pisze o kasztanach jako paszy, co następuje: Owce i kozy spożywają kasztany chętnie, należy zadawać je w stanie gniecionym z sieczką, wraz z jaką inną soczystą paszą. Maciorom (u owiec) nie można dawać nad 1 funt, skopy mogą otrzymać 2 funty. Kasztan działa korzystnie na trawienie, zapobiega biegunce, chorobie gnilu, robakom i zaflegmieniu. Bydło przywyka prędko do świeżych kasztanów, z których zadawać można krowom mlecznym stopniowo do 10 funt:, opasom do 20 funtów. Bardzo się zaleca podawać kasztany razem z liśćmi buraczanymi. U opasów wpływają na wytworzenie jędrnego, smacznego mięsa i tłuszczu, mianowicie przy dodatku ścisłej paszy, jak makucha olejnego lub kiełków słodowych. Świeże zupełnie spasać można w całości, starsze w stanie pogniecionym, ale i konie nie pogardzają kasztanami, można dawać na sztukę z 5 funtów na dzień. Świnie surowych kasztanów nie ruszą, natomiast gotowane spożyją ze smakiem, gotować należy z inną odpowiednią paszą.

W razie obfitego zbioru należy je przechować, układając w cienkich warstwach na śpichrzu, które często wypada przeszuflowywać. Suszone posiadają znaczną wartość odżywczą, równają się pod tym względem gorszemu ziarnu owsa. Suszyć można w piecu od pieczenia chleba, zasypywać bezpośrednio po upieczeniu tegoż. Śrótowane stanowią dobry dodatek dla młodego inwentarza, dodając 1 funt na dzień na sztukę. Użytkujmy zatem żołędzie i kasztany, przedewszystkiem zaś w latach braku paszy.

## Złote reguły przy hodowli świń

**podaje znakomity hodowca p. Schmidt, dyrektor dóbr Wąsowo w W. Ks. Poznańskiem.**

(Ciąg dalszy).

14) Daj świniom sposobność do spożywania materyi ziemnych, wapnistych, kawałków węgla itp.

15) Krótko przed oproszeniem wsadź maciorę do osobnej zagrody, a za podściół daj jej krajaną (krótką) słomę.

16) Odsadzoną maciorę dobrze dopilnuj; — lecz nie bierz się bezpotrzebnie do pomagania przy porodzie.

17) Prosiętom poobłamuj jaknajwcześniej ostre zęby boczne, już w pierwszych 24 godzinach po ulężeniu.

18) Już w 3-cim tygodniu po oproszeniu można maciorę z prosiętami na dwór wypędzić przy ładnem powietrzu. W 4-tym tygodniu dodawać można prosiętom odpowiednią karmę.

19) Prosięta zostawia się przy matce 7—8 tygodni — do chowu wybrane nawet 9—10 tygodni.

20) Słabsze prosięta odsadź zawczasu do osobnej zagrody — aby się dobrze odżywiały.

21) Tuczniki zważ co każdy miesiąc.

22) Pasza zbyt wodnista wyda mięso wodniste. Wiele paszy oleistej wytwarza słoninę oleistą. Od kukurydzy nabiera tak tłuszcz jak słonina farby żółtawej.

23) Najlepsze mięso, tłuszcz i słoninę otrzyma się, pasąc jęczmieniem, grochem, bobikiem i żytniemi otrębami.

24) Najtańszem bywa pasienie jaknajposilniejsze.

25) Sztuki nabyte, (szczególnie od handlarzy) przed wprowadzeniem do chlewa, trzeba trzymać ze 3 tygodnie w osobnym budynku. Przez ten czas okaże się, czy świnia jest zdrową lub nie.

# NASZE DZIECI.

## Matczyne kochanie.

Widziałam raz matkę, która dała się zabić za swoje dzieci. Nie broniła się nawet, nie uciekała, bo musiała skrzydłami osłaniać pisklęta, które oplotły w przerażeniu jej nogi. Nie pisały o niej jednak gazety... książki nie opowiadały o niej, jak o bohaterskiej matce, bo była to tylko... kaczka — zwykła domowa kaczka.

Wysiedziała piętnaścioro piskląt i wodziła je po podwórku, zbierając dla nich jedzenie i pływała z nimi po stawie, bacząc, aby im się żadna krzywda nie stała.

Wstałam właśnie po słabości, która przyniosła mi pierwsze dzieciątko i stanęłam w oknie, aby popatrzeć się na boże słońce. Kaczka chodziła spokojnie po dziedzińcu, a drobiazg jej gonił się wesoło i kąpał się w gorącym piasku, zabawne wywracając koziołki.

Nagle kaczka spojrzała do góry, wydała krzyk przerażenia i rozstawiła szeroko skrzydła, pod które schroniły się maleństwa w jednej chwili.

Nim miałam czas zastanowić się nad tem, co się stało, jastrząb spadł jak błyskawica z błękitnego nieba, przysiadł na karku śmiertelną trwogą dygocącej kaczki i zaczął bić dziobem w jej głowę. Nie ruszyła się nawet, tylko po-

chyliła się, jakby z całą świadomością poddawała się śmierci.

Wysłałam kogoś na ratunek ale było już za późno. Zanim ludzie nadbiegli, kaczka już nie żyła. Spłoszli tylko jastrzębia, który poleciał dalej szukać łupu, rzucając drapieżne spojrzenia na ten, który przyszedł mu tak łatwo, a którego jednak nie mógł porwać.

Wypadek ten wywarł na mnie głębokie wrażenie. Czułam, że tak jak ta kaczka dałabym się zabić każdej chwili za to maleństwo, które drzemało w kolebce, uśmiechając się słodko. Ale wiedziałam, że życie człowieka nie jest jak życie ptaka, który byle miał co jeść i pić, byle miał gdzie schronić się przed jastrzębiem lub wroną, to już i żyć będzie i dopełni swego przeznaczenia. Wiedziałam, że na dziecko moje czyhać będą różne choroby i przypadki, które mogą mi je zabrać każdej chwili, wiedziałam, że na duszę mego dziecka nastawać będą źli ludzie i złe jego skłonności, że złe podszeptywać mu będzie nędza i niedola życia, bo któż z nas jest wolny od nędzy i niedoli na tym świecie.

I ogarnął mnie strach ogromny... i czułam się słabszą od tej kaczki, która skrzydła miała, żeby osłonić niemi swoje pisklęta, a ja nie miałam nic, nic czembym moje od nędzy i niedoli życia ochronić mogła. Nie, nie, nic... miałam miłość ogromną, to kochanie matczyne, które zawsze podszeptuje matce jak najłacniej dziecko rodzone od wszelkiej niedoli uchronić. To kochanie podszepnęło mi: ucz się, pytaj o radę tych co więcej wiedzą.

*(C. d. n.)*

## ROZMAITOŚCI.

**Z ziem polskich.** Prześladowania młodzieży polskiej w zaborze pruskim nie ustają, przeciwnie jeszcze szersze przybierają rozmiary. *Gazecie Toruńskiej* donoszą, że studenci: Gąsowski, Borowski, Nierzwicki i Klin, zostali odstawieni od egzaminu i wydaleni z gimnazyum.

Nieprzerwany łańcuch procesów antypolskich w zaborze pruskim ciągnie się dalej. Onegdaj miał miejsce przed sądem ławniczym w Tczewie proces przeciw redaktorowi p. Janowi Brejskiemu z Torunia z powodu, że wydawał na wiecu w Pelplinie książeczki i broszury.

A przed sądem ławniczym w Świeciu toczy się proces o rzekomo nieprawne rozdawanie druków na wiecu w Grucznie, przeciw panom Robertowi Barylskiemu z Osieka i redaktorowi Brejskiemu z Torunia.

**Dżuma w Neapolu we Włoszech.** Donoszą gazety, że dżuma czyli morowe powietrze szerzy się bardzo w tem mieście włoskiem, oraz w Turcyi.

Chorych umieszczają w lazaretach (szpitalach), które są zupełnie odosobnione, ażeby nikt nie mógł mieć żadnej z nimi styczności. Z powodu pojawienia się dżumy w Neapolu, austryackie ministerstwo spraw wewnętrznych wystosowało pismo do wszystkich władz krajowych, polecając im czuwanie nad przybywającymi z Włoch osobami, przyczem nad osobami, któreby zapadły na tę chorobę, ma być rozwinięty najściślejszy dozór.

**Handel żywym towarem.** W Bytomiu na Górnym Śląsku rozpoczął się proces przeciw agentowi, nazwiskiem Izrael Meyerowicz, oskarżonemu o wywabianie dziewcząt z Królestwa Polskiego i sprzedawanie ich do domów rozpusty w Europie i Ameryce. Agenci żydowscy miejscowi namawiali dziewczęta do wyjazdu, przyrzekając im dobre stanowiska (nauczycielek itp.), i przemycali je przez granicę do Katowic. Tam brał je Izrael Meyerowicz w swoją opiekę i odstawiał według zamówienia. Ofiary dowiadywały się dopiero u celu, gdy zapóźno było szukać ratunku, jaki los je czeka.

**Zakopane, 30 lipca.** Z powodu ostatnich, coraz to brutalniejszych zamachów węgierskich na neutralność terytoryum spornego nad Morskiem Okiem, zwołało Towarzystwo tatrzańskie wiec swoich członków, który się odbył w sali Hotelu turystów w Zakopanem. Przewodniczył obradom wiceprezes towarzystwa dr. P o n i k ł o. Referent dr. Stanisław E l i a s z - R a d z i k o w s k i przedstawił dotychczasowy przebieg sprawy i jej stan obecny. Spór datuje się od lat ośmnastu. Około roku 1895, na osobiste wdanie się cesarza, obie strony spierające się zgodziły się na utworzenie międzynarodowego sądu rozjemczego, którego wyrok miał obowiązywać. Od tej pory minęło lat sześć, a prace komisyi rozjemczej są żadne.

Kraj od samego początku upominał się o swoje prawa. W Sejmie zapytywał o to poseł Bojko, a nadto w r. 1893 wpłynęła do Koła polskiego prośba, opatrzona t r z y d z i e s t u s z e ś c i u t y s i ą c a m i p o d p i s ó w. Wszystko osiągnęło jedynie taki skutek, że Węgrzy sami na własną rękę uznali sprawę za załatwioną (oczywiście na swoją korzyść) i przystąpili obecnie do zajęcia spornego kawała ziemi.

W Jaworznie usadowiono trzydziestu żandarmów, którzy mają udzielić poparcia wszelkim dalszym wybrykom Madziarów.

A na to bezprawne zachowanie się Węgrów, odpowiadają władze galicyjskie niedołęstwem. Więc skoro tyle lat cierpliwości nie doprowadziło nas do pożądanego skutku, przeciwnie rozzuchwaliło tylko naszych przeciwników, to nie pozostaje nam nic innego, jak po męsku i stanowczo dopominać się o nasze prawa.

**Ostrzeżenie rządowe.** Rząd austro-węgierski przestrzega, aby ci, którzy szukają za granicami państwa lepszych życia warunków, nie udawali się do Brazylii, bo tam nie dostaną ziemi, lecz będą musieli spełniać najtrudniejsze i źle opłacane roboty na plantacyach kawy.

Nie chodzi tu o emigracyę do Parany, prowadzoną w uczciwy sposób; ona ma ziemię i rozdaje ją wychodźcom, ale takim, którzy się wprost do towarzystwa handlowo-geograficznego zwracają. Ostrzeżenie rządu dotyczy zupełnie innej emigracyi. Rzecz jest taka: Plantatorowie kawy w prowincyi San Paulo znaleźli się po zniesieniu murzyńskiego niewolnictwa w bardzo trudnych warunkach gospodarskich; nie mają robotników, ponieważ wolnego murzyna niczem nie można zachęcić do pracy.

Oczywiście wychodźcy jadą za swoje pieniądze, w nadziei, że od razu dostaną ziemi, ile tylko zechcą, a dopiero na miejscu się dowiadują, że zaprzedano ich do niewoli na plantacyach kawy, w okolicach bardzo niezdrowych, do robót nadzwyczajnie uciążliwych. Otóż o tej spekulacyi ostrzega rząd Duchowieństwo, obywatele, inteligencya, rozsiana po kraju, wogóle ludzie dobrej woli, słowem wszyscy, mający styczność z ludem, powinni rozpowszechnić owo ostrzeżenie między wieśniakami.

**Przeciw alkoholowi.** Klub przyjaciół zdrowotności (hygieny) publicznej w Pradze wydał i rozpowszechnia według możności po wsiach, fabrykach, szkołach, wśród stowarzyszeń itd. następujące dziesięć punktów, omawiających szkodliwość napojów wyskokowych.

1. Napoje (piwo, wino, wódka) zawierające alkohol, są dla zdrowego człowieka zupełnie niepotrzebne, a dla pewnych chorych tylko czasowym lekiem, do zalecenia lekarza.

2. Napoje spirytusowe, w większej ilości użyte, upajają, a nawet mogą sprowadzić nagłą śmierć przez porażenie mózgu, lub serca. Piwo i wino jest tem szkodliwsze, im dłużej się ich używa, ale wódka jest najszkodliwszą dla zdrowia człowieka.

3. Napoje wyskokowe z początku drażnią i podniecają czynności nerwowe, ale później wywołują porażenie, przytępiają wprawdzie uczucie znużenia i głodu, ale nie są w stanie podnieść i podtrzymać sił ciała, ani też zastąpić pokarmu.

4. Użycie ich wywołuje schorzenie różnych narządów, naprzykład sprowadza nieżyt żołądka, zapalenie wątroby i nerek, stłuszczenie i rozszerzenie serca, zapalenie mózgu i nerwów. Alkohol osłabia odporność ustroju ludzkiego tak, że pijak jest podatniejszy do rozwoju różnych chorób, naprzykład gruźlicy, łatwiej i prędzej im podlega, aniżeli człowiek trzeźwy.

5. Napoje spirytusowe są szczególnie niebezpiecznym jadem dla dzieci, gdyż nerwy ich są czulsze. Piwo, wino i wódka sprowadzają u dzieci różne choroby ciała i duszy, bo robi je leniwemi, upartemi, niemoralnemi, a wreszcie występnemi i skłonnemi do pijaństwa.

6. Pijaństwo, upośledzając czynności mózgu, zmienia usposobienia człowieka, przytępia szlachetne dążenia, rozbudza najniższe instynkty, prowadzi do wyuzdania moralnego i występków.

7. Pijaństwo przytępia zdolności umysłowe, zagraża rozumowi, prowadzi do szaleństwa, lub do zidyocenia.

8. Pijaństwo działa bardzo szkodliwie na cielesny i duchowy rozwój potomstwa. Dzieci pijaków bywają chorowite, głupkowate, zidyociałe, występne, często cierpią na padaczkę, lub choroby umysłowe.

9. Pijaństwo sprowadza wiele kalectw, nieszczęść, występków, zabójstw i samobójstw, zapełnia szpitale, więzienia i zakłady dla umysłowo chorych, niszczy szczęście rodzinne, prowadzi do niedostatku i nędzy.

10. Najlepszym środkiem przeciwko szkodliwym następstwom pijaństwa jest zupełne wyrzeczenie się trunków. Doświadczenie dowodzi, że nie używając trunków, ludzie są zdrowi, bardziej dziarscy, łatwiej znoszą wysiłki cielesne, lepiej się bawią i kształcą, a dobrobyt ich wzrasta.

Podajemy Wam te wiadomości, aby i u nas były rozpowszechnione w jak najszerszych kołach.

**Wiec parafialny w Gołuchowie w Poznańskiem.** Wiec w sprawie języka polskiego i szkolny odbył się w niedzielę dnia 28 lipca w Gołuchowie. Ks. proboszcz Jażewski, objąwszy przewodnictwo, udzielił głosu p. Wł. Grabskiemu z Gołuchowa.

Mowca zaznaczył przedewszystkiem prawa, które nam jako Polakom w państwie pruskiem przysługują. Po omówieniu praw przeszedł do tego, jak prawa te wobec nas są wykonywane i prawie zawsze naruszane. Dalej zaznaczył wszystkie krzywdy nasze, zaczynając od praw majowych, które starały się wyprzeć język polski ze szkoły. Podniósł, że zachowanie przed 28 laty wykładu religii w szkołach w języku polskim zawdzięczamy jedynie gorliwości pasterskiej i poświęceniu ks. Arcybiskupa, dzisiejszego Kardynała hr. Ledochowskiego, który wolał pójść do więzienia, niż dopuścić do szkoły język niemiecki, a z nim razem germanizacyę przez Kościół za pomocą wykładu religii po niemiecku. Czego rząd wówczas nie uczynił, to stara się przeprowadzić dziś, dlatego musimy stanąć wszyscy murem w obronie języka polskiego i religijnego wychowania dzieci.

Po p. Grabskim zabrał głos p. Maryan Szuman z Gołuchowa i powiedział, że niezmiernie ważnym przy wychowaniu i wykształceniu dziecka jest język ojczysty, niestety zupełnie wyrzucony ze szkół. Cierpi na tem nietylko religijne wychowanie dzieci, ale cały ich rozwój umysłowy wogóle. Po rządzie i szkole nie możemy się niczego spodziewać, a jednak nie chcąc

wydać języka naszego na poniewierkę, musimy sami i to wszyscy stanąć w obronie jego gorąco.

Dlatego zachęca mowca, aby wszyscy przystąpili do założonego w Pleszewie na wiecu Towarzystwa Samopomocy, mającego na celu szerzenie książek i elementarzy w domach polskich i proponuje uchwalenie następujących rezolucyj:

1. Rozpowszechnianie polskich elementarzy, polskich katechizmów i polskich książek do czytania.

2. Czuwanie nad tem, aby:

*a)* w każdym polskim domu dzieci umiały czytać i pisać po polsku;

*b)* każda matka uczyła dzieci swoje pacierza i prawd naszej wiary św. w polskim języku;

*c)* rodzice dbali o to, by dzieci znały i umiały śpiewać polskie pieśni kościelne i świeckie.

## PYTANIA I ODPOWIEDZI.

**Sz. Jadwidze Balcar** donosimy, że *Przodownica* wysłaną była raz poraz, w trzech egzemplarzach. — Dziwi nas niezmiernie dlaczego Szan. Czytelniczka jakoteż **Szan. Jaworski, Szan. Lenor** pisemka tego nie otrzymują: Upraszamy serdecznie Tych wszystkich, którym poczty *Przodownicy* nie doręczają, by raczyli się o nie upominać i dochodzić dlaczego na pocztach giną. A giną nietylko numery *Przodownicy*, ale i książki przesyłane. Zaginęła książka p. t. „Poznaj siebie samego", wysłane na życzenia **Szan. J. Lenara.**

Ponowne zażalenia administracya wniesie do głównego Zarządu poczt, i skargę na niedbalstwo poczt, z załączeniem reklamacyj.

Kto więc *Przodownicy* nie otrzymuje niech o tem nas reklamacyami zawiadomi. Reklamacye wysyła się, jak Szan. Czytelniczkom wiadomo nie opłacone, czyli bez marek pocztowych.

**Szan. N. M.** donosimy, że sposób leczenia kataru żołądka podamy w liście, po zasięgnięciu rad od znakomitego lekarza.

**Szan. Marynie Koziałównej** na Jej życzenie podajemy przepisy na tani obiad. Spodziewamy się, że smakować będzie równie dobrze, jak tamte potrawy. — Szczęść Ci Boże! Szan. Czytelniczko w Twej pracy i staraniach, by matusi i opiekunowi jadło, jakie warzysz smakowało. Niezmiernie cieszymy się Twą wiadomością, że z przepisów korzystasz, że ci się jadło udaje, a co najważniejsze, żeś zadowolona z tego, że tak bardzo mało kosztuje.

Jak te zaś potrawy z owsa i otrąb warzyć można, to podawałyśmy w zeszłorocznych numerach *Przodownicy.* A ponieważ w roku zeszłym naszego pisemka nie prenumerowałaś Droga Czytelniczko, przesyłamy Ci go równocześnie z tym numerem. Kończymy te kilka słów życzeniem, by więcej było u nas po wsiach takich dziewuch, któreby się starały wszystkiego pouczyć, z każdej nauki skorzystać, a temi naukami kierować się na dobre i porządne gospodynie.

**Zupa z brukwi czyli karpieli:** Karpiele obrane drobno pokrajać i razem z ziemniakami ugotować. Gdy się ugotują, rozetrzeć to wszystko na masę, dodać nieco masła, z łyżkę mąki, posolić i zagotować. Kto może a doda trochę śmietany, to będzie jeszcze lepsze.

U w a g a. Karpiele i ziemniaki pokrajane wrzuca się do wody wrzącej, a nie do zimnej.

**Rzepak.** Liście rzepaku (kapusta rzepak olejodajny) można ugotować na jarzynę. Smakiem będzie ona do szpinaku podobną. Przy wybieraniu należy grube łodygi obrywać i odrzucać, cienkie zaś mogą pozostać przy liściach. Następnie dobrze wymyć, i w bardzo małej ilości wody nie bardzo osolonej warzyć. Po uwarzeniu dobrze rzepak posolić, dodać kilka drobno usiekanych cebul i znowu wszystko razem dusić. Następnie wsypać trochę utartej bułeczki, dodać trochę masła, dobrze wymieszać i znowu dusić. Do tego podać na stół ziemniaki i chleb.

**Sałatka winna** z kapusty. Miękkie listki (obrane) czerwonej kapusty cieniutko pokrajać i uwarzyć w naczyniu szerokiem na małym ogniu na pół miękko, dodawszy cokolwiek wody i soli; następnie wyłożyć na miskę a po wystygnięciu dobrze przemieszać z oliwą i z sokiem cytryny.




Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

# ZA CHLEBEM

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

(Ciąg dalszy).

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tem mieście wśród gwaru ludzkiego poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie, jeśli Niemiec ich zwiódł?

Zadygotały trwogą na tę myśl biedne chłopskie serca. Co poczną? Poprostu — zginą.

Tymczasem wiatr przejmował im odzież, deszcz ich moczył.

— Maryś, czy ci nie zimno? — spytał Wawrzon.

— Zimno tatulu — odpowiedziała dziewczyna.

Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miejskie. Mroczyło się na świecie. Ruch w porcie ustawał; na ulicach zapalono latarnie: jedno morze rzęsistych świateł zapłonęło w całem mieście. Robotnicy z portu, śpiewając ochrypłymi głosy: „*Yankee Doodley*" [1]) ciągnęli w mniejszych i większych gromadach do miasta. Powoli bulwark opustoszał zupełnie. Budynek celniczy zamknięto.

Oni stali, czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc i w porcie zrobiła się cisza. Od czasu do czasu tylko ciemne kominy statków rzucały z sykiem snopy iskier, które gasły w ciemnościach, lub zabełkotała fala, uderzając o bulwark kamienny. Czasem rozległa się piosnka pijanego majtka, wracającego na okręt, światła lamp bladły we mgle. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począć, gdzie się obrócić, gdzie przytulić umęczone głowy? Zimno przejmowało ich coraz dotkliwiej, począł dokuczać im głód. Gdyby choć dach im nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzy wcale nie ma. Niemiec był agentem kompanii przewozowej, brał procent od sztuki i o niczem więcej nie wiedział.

Wawrzon uczuł, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar wtłacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny dygocącej od zimna, obudził go jakby z odurzenia...

— Tatulu!

— Cichoj. Nie ma miłosierdzia nad nami!

— Wróćwa do Lipiniec...

— Idź się utop...

— Boże, Boże! — szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

— Sieroto, niebogo!.. niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

Ale go już nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę, przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a w śnie jakby obrazek w ramkach: Lipińce i coś niby piosenka Jaśka koniuchy:

Cóżeś za pani?
Cóżeś za pani?
Cała twoja sukiencya
Wianek ruciany.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowoyorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarem tem świetle odróżnić było można dwie postacie śpiące pod ścianą, o wybladłych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

## II.

### W Nowym-Yorku.

Schodząc w Nowym-Yorku z szerokiej ulicy Broadway (wym.: *Brodue* — Szeroka ulica) ku portowi, w kierunku Chattam-square, i przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na część miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posępną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy, budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu: dachy na nich zaklęsły, tynk poopadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suteren [1]) za-

[1]) Wym.: *Janki Dudle* pierwsze słowa znanej powszechnie i ulubionej w Ameryce piosnki.

[1]) *Sutereny* — mieszkania znajdujące się poniżej poziomu ulic.

ledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny. Dziwne krzywizny zastępują tu miejsce ulubionych w Ameryce linij prostych; dachy i ściany nie wyciągnięte pod sznur, kupią się i piętrzą jedne nad drugie rozczochraną dachówką.

Z powodu nadbrzeżnego położenia tej części miasta, kałuże w wybojach ulicznych nie wysychają tu prawie nigdy, a małe, szczelnie obudowane place, podobne są do sadzawek, napełnionych gęstą czarną i stojącą wodą. Okna odrapanych domów ponuro przeglądają się w tej wodzie, której plugawa powierzchnia pstrzy się strzępami papieru, tektury, kawałkami szkła, drzewa i blachy od pak okrętowych; podobnymi strzępkami zarzucone są całe ulice, a raczej pokrywająca je warstwa błota. Wszędzie widać tu brudy, nieład i nędzę ludzką.

W tej-to dzielnicy znajdują się „boardinghousy“ (wym.: *bordinghauzy)* czyli zajazdy, w których za dwa dolary tygodniowo można dostać nocleg i całkowite utrzymanie; tu także szynkownie, w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichrustów na swe statki; pokątne agitacye wenezuelskie, ekwatorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacyi równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie żywiące swych gości mięsem solonem, zgniłemi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy: tu nakoniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu i łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracya, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych „workinghousów“ (wym.: *Uorkinghauz*) czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera. Z drugiej strony powiedzieć można, że jeśli emigracya jest szumowinami społeczeństw europejskich, to mieszkańcy owych zaułków są szumowinami emigracyi. Ludzie ci próżnują po części dla braku roboty, a po części z zamiłowania. Tu też nocami dość często rozlegają się rewolwerowe strzały, wołania o pomoc, ochrypłe krzyki wściekłości, pijackie śpiewy irlandzkie, lub wycia bijących się ze sobą na głowy murzynów. Dniem co chwila całe kółka włóczęgów, w obdartych kapeluszach, z fajkami w zębach, przypatrują się pięściowym walkom, zakładając się przytem od centa aż do pięciu, za każde wybite oko. Dzieci białe i małe murzynki o kręconych czuprynach, zamiast spędzać czas w szkole, włóczą się po ulicach, klekocąc kawałkami żeber wołowych lub szukając w błocie resztek warzywa, pomarańcz i bananów; wychudłe kobiety irlandzkie wyciągają ręce do lepiej ubranego przechodnia, jeśli się tam zabłąka.

W takiej Gehennie [1]) ludzkiej odnajdujemy dawnych znajomych naszych: Wawrzona Toporka i córkę jego Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zaklęśniętej w ziemi, o jednem oknie z powybijanemi szybami. Na ścianach izby czernieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiały piecyk żelazny o trzech nogach; w kącie trochę słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

To wszystko. Stary Wawrzon, klęcząc przed piecykiem, szuka, czy w wygasłym popiele nie schował się gdzie jaki kartofel, i do tego szukania wraca nadaremnie już... drugi dzień; Marysia zaś siedzi na słomie i, otoczywszy rękoma kolana, patrzy nieruchomie w podłogę. Dziewczyna chora jest i wynędzniała. Ta sama to niby Marysia, ale jej rumiane niegdyś policzki zapadły głęboko, cera stała się blada i chorobliwa, cała twarz jakby drobniejsza niż dawniej, a oczy wielkie i zapatrzone. Znać na jej twarzy wpływ zgniłego powietrza, zgryzot i nędznego pożywienia. Żywili się tylko kartoflami, ale od dwóch dni już i kartofli zabrakło. Wcale teraz nie wiedzą, co robić będą i czem żyć dalej. Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał taczek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy; chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić, podbito mu znowu oczy. Przytem co to za robotnik, który nie pojmuje co do niego mówią ?! Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąć, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potrącano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić ani wyprosić. Włosy zbielały mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczynał się głód.

W kraju, między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wygnały go z chałupy, to... kosztur-by mu tylko wziąć do ręki, stanąć pod krzyżem na rozdrożu albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: „Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy“. Panby przejeżdżał, dałby dziesiątkę; pani z powozu dzieckoby wysłała z pieniądzem w różanej rączce

[1]) *Gehenna* (wyraz hebrajski) — piekło.

i z wielkiemi wpatrzonemi w dziada oczyma; chłopby pół bochenka chleba dał, baba szperki i możnaby żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze. Przytem jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a naokoło pola i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tem mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzał tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót poprostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić. Tu wszystko było jakieś dziwne, obce, odtrącające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu jako gliniany garnek.

Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i urzędnikiem, posiadłość miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę strawy każdego dnia; w niedzielę przed ołtarz wychodził: a tu był ostatni między wszystkimi, był jak pies przybłęda na cudzem podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: „Lepiej ci było w Lipińcach". Sumienie krzyczało: „Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce?" Czemu? bo go Bóg opuścił. Niósłby chłop swój krzyż, cierpiałby, gdyby przed nim był gdzieś koniec onej drogi krzyżowej; wiedział jednak dobrze, że każdy dzień będzie coraz sroższym dopustem i każdego ranka słońce coraz większą nędzę jego i dziewczyniną oświeci. Więc co? Ma-li ukręcić powróz, zmówić pacierz i powiesić się? Chłop nie zmruży oczu przed śmiercią, ale co się stanie z dziewczyną? Gdy o tem wszystkiem myślał, to czuł, że go nietylko Bóg opuścił, ale i rozum opuszcza. Nie było żadnego światła w tej ciemności, którą przed sobą widział, a największego bólu nawet nazwać nie umiał.

Tym największym była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tem straszniej, że nie wiedział co to jest, czego mu trzeba, do czego się dusza w nim chłopska rwie i wije z męki: a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych, i panów i chłopów, i księży i tego wszystkiego, nad czem się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami radby był się porwać za włosy i głową tłuc o mur, albo rzucić się na ziemię, albo wyć jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu — kogo? — sam nie wiedział. Oto już gnie się pod tem nieznanem brzemieniem, już opada, a tu miasto obce huczy i huczy; on jęczy i wzywa Jezusa, a tu krzyża nigdzie niema, nikt nie odpowiada, tylko miasto huczy i huczy, a na tapczanie siedzi dziewczyna z oczami wpatrzonemi w ziemię — zgłodniała i cierpi cicho. Dziwna rzecz! Siedzieli z dziewczyną ciągle razem i często po całych dniach jedno ani słowem nie ozwało się do drugiego. Żyli jakby w urazie wielkiej. Źle i ciężko im było tak żyć, ale o czemże mieli mówić? Ran jątrzących się lepiej nie tykać. Chyba o tem, że niema już ani pieniędzy w kieszeni, ani kartofli w piecu, ani rady w głowie.

Pomocy też nie doznali od nikogo. Polaków żyje w Nowym-Yorku bardzo wielu, ale zamożniejszy nikt nie mieszka w okolicach Chattam-square. W drugim tygodniu po przybyciu poznali wprawdzie dwie rodziny polskie, jedną ze Śląska, drugą z pod samego Poznania, ale i one już oddawna głodem marły. Ślązakom umarło już dwoje dzieci, trzecie było chore, a jednak od dwóch tygodni już sypiało wraz z rodzicami pod arkadą mostu, wszyscy zaś żywili się tylko tem, co na ulicach znaleźli. Później też wzięto ich do szpitali i nie wiadomo, co się z niemi stało. Drugiej rodzinie równie źle się działo, a nawet gorzej jeszcze, bo ojciec pił. Marysia ratowała kobietę, póki mogła, ale teraz sama potrzebowała poratowania.

Mogli wprawdzie oboje z ojcem udać się do kościoła polskiego w Hoboken. Ksiądzby przynajmniej dał innym o nich znać, lecz alboż wiedzieli, czy jest jaki kościół lub jaki polski ksiądz; alboż mogli się z kim rozmówić, kogoś zapytać? W ten sposób każdy wydany cent był dla nich jakby stopniem po wschodach, prowadzących w otchłań nędzy.

Siedzieli w tej chwili, on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było w południe, ale mgła wstawała z wody, jako zwyczajnie wiosenną porą, mgla ciężka, przejmująca. Mimo, że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wawrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

— Maryś — rzekł — nie mogę już wytrzymać i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałapać: napaliwa choć w piecu, a może znajdę co zjeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł. Nauczył się już chodzić do portu i wyławiać kawałki desek od pak i skrzyń okrętowych.

na brzeg wyrzuca. Tak robią wszyscy, którzy nie mają za co węgla kupić. Często go tam poszturchali przy tym połowie, ale często nie; czasem trafiało się znaleźć i co do zjedzenia, jakie resztki zepsutego warzywa, wyrzucanego ze statków, a przytem, gdy ot! chodził tak we mgle i szukał, czego nie zgubił, to chwilami zapominał o swej niedoli i o tej tęsknocie, która go najbardziej ze wszystkiego trawiła. Przyszedł wreszcie nad wodę, a że to była pora śniadania, więc nad brzegiem kręciło się tylko kilku małych chłopaków, którzy zaczęli wprawdzie zaraz krzyczeć na niego, rzucać czarnem błotem i muszlami, ale nie mogli go obić. Deszczułek różnych kołysało się sporo na wodzie: jedna fala je przynosiła, druga odnosiła na głębię. Wkrótce nałapał ich dosyć.

Chwiały się także kupki jakiejś zieloności na fali; może było w nich co do zjedzenia, ale jako lżejsze, nie przypływały do brzegu, więc ich nie mógł dostać. Chłopaki rzucali na nie sznury i w ten sposób przyciągali je do siebie; on, że sznura nie miał, więc tylko patrzał chciwie, czekał aż chłopcy odejdą, i przeszukiwał resztki jeszcze raz, zjadając, co mu się zdatnem do zjedzenia wydawało. O tem, że dziewczyna także nie jadła, nie myślał.

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając do domu, spotkał wielki wóz z kartoflami, który w drodze do portu ugrzązł w wyboju i niemógł się ruszyć. Wawrzon chwycił zaraz za szprychy i zaczął z woźnicą pchać koła. Ciężko było, aż go w krzyżach zabolało, aż wreszcie konie szarpnęły, wóz wyskoczył, a że był czubiasto ładowany, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto. Woźnica ani myślał ich zbierać, podziękował Wawrzonowi za pomoc, krzyknął na konie i pojechał.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącemi rękoma, schował w zanadrzu i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionem szczęściem się wydaje; więc chłop, wracając do domu, mruczał cicho:

— A no, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał na niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozpali; „gajdoków“ je tyla, że na dwa razy wstrzyma. Pan Bóg jest miłosierny. W izbie zaraz się zrobi raźniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwigał jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadrza. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu i znowu mruczał:

— Myślałem se: ukradnę, a tu bez kradzenia z wozu spadło. Nie jedliśwa, to będziewa jedli. Pan Bóg je miłosierny! Maryśka zaraz ze słomy wstanie, jak się dowie, że mam gajdoki.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy. Bywało, że jak Wawrzon przynosił rano drzewa, to napaliła w piecyku, przyniosła wody, zjadła, co było, a potem całemi godzinami wpatrywała się w ogień. Szukała i ona w swoim czasie roboty. Najęto ją nawet do jednej garkuchni do pomywania garnków i zamiatania; ale że się nie mogli z nią rozmówić, że źle spełniała polecenia, nie rozumiejąc ich, więc ją wypędzili we dwa dni. Potem niczego już nie szukała i nic nie znalazła. Po całych dniach siadywała w domu, bojąc się wyjść na ulicę, bo tam ją zaczepiali Irlandczycy i pijani majtkowie. Przez to próżnowanie była jeszcze nieszczęśliwsza. Tęsknota gryzła ją, jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwszą od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że nie ma dla nich rady, ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami, dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: „Gdzie ty się obrócisz, i ja się obrócę“ ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją osiadłość po ojcach, a ona stała się taką biedną, taką głodną, jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnie-li ją do piersi? powie-li: „chudziątko moje serdeczne?“ Czy też: „Idź precz, dziadowa córko!“ Jakież-to teraz jej wiano? łachmany. Psyby na nią i w Lipińcach szczekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza radaby wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami, i choćby umrzeć, byle tam. Tam on, Jaśko pamiętny, czy nie pamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby spokój i radość i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym w świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś dokuczał, to płomienie sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc, mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innemi dziewczynami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko, wyglądając z alkierza, wołał: „Maryś! pójdziewa do księdza, boś mi miła!“ Ona mu zaś odpowiadała: „Cichaj, zbereźniku!“ I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona, zasłoniwszy

oczy rękoma, szeptała: „Idź-że precz, bo się wstydam!“ Gdy jej to czasem przypominały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wypłakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czuła zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie patrząc tylko przed siebie wielkiemi oczyma, jak ptak, którego męczą.

W ten sposób spoglądała i teraz, siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia, w mniemaniu, że to ojciec, nie podnosiła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

— *Look here!* (wym.: *Luk hir* — patrz tu!)

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary Mulat [1]) o twarzy posępnej, brudny, obdarty, z policzkami wypchanemi tytuniem.

Ujrzawszy go, dziewczyna zlękła się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu, podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

— Przychodzę po dolara! — rzekł.

Zrozumiała wyraz „dolar“ i, potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

— Bóg wielmożnemu panu zapłaci — dodała po polsku — nie wiedząc już, co mówić i robić.

Wielmożny pan nie zrozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że pozbierawszy jedną ręką węzełki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na wschody, wyprowadził na ulicę i rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

— Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

— *All right* — odpowiedział jakiś głos ze środka — przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzełki we framudze domu, by się nie walały w błocie, i stanąwszy przy nich, czekała, pokorna jak zawsze i cicha.

Pijani Irlandczycy, którzy przechodzili ulicą, nie zaczepiali jej tą razą. W izbie było ciemno ale na ulicy widno bardzo, i przy tem świetle twarz dziewczyny wydawała się tak wynędzniałą, jakby po wielkiej jakiej chorobie. Tylko jasne lniane włosy pozostały jak dawniej, wargi za to miała zsiniałe, oczy wpadłe i podkute, kości wystawały jej z policzków. Wyglądała jak kwiat, który więdnie, albo jak dziewczyna, która ma umrzeć.

Przechodzący spoglądali na nią z pewnym rodzajem politowania. Stara murzynka zapytała ją o coś, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, poszła dalej urażona.

Tymczasem Wawrzon zdążał do domu z tem dobrem uczuciem, jakie w bardzo biednych ludziach budzi jawny dowód miłosierdzia Bożego. Miał oto kartofle: myślał, jak będą jedli, jak jutro znów będzie chodził koło wozów, a o pojutrze nie myślał w tej chwili, bo był zbyt głodny. Ujrzawszy zdaleka dziewczynę stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyspieszył jeszcze kroku.

— A ty tu czego stoisz?

— Gospodarz wygnał nas, tatulu!

— Wygnał?!

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobią, gdzie je upieką, czem się pożywią, dokąd pójdą? Za drzewem grzmotnął Wawrzon i czapkę w błoto. „Jezu! Jezu!“ okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrzał błędnie na dziewczynę i powtórzył jeszcze raz:

— Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

— Czemuś go nie prosiła, ciemięgo?

Ona westchnęła.

— Prosiłam.

— Pod nogi go podjęłaś?

— Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu jak robak, którego ktoś przekłuje. Zrobiło mu się w oczach ciemno zupełnie.

— Bogdajeś zmarniała! — krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

— Tatulu! cóżem ja winna?

— Stój-no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną ręką.

Chwilę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

— Pójdź.

[1]) *Mulat* — mieszaniec, urodzony z ojca białego i matki murzynki lub odwrotnie.

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł, jakby zapomniał, jakby nie wiedział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli. Dwie tak nędzne postacie, starca i dziewczyny, zwracałyby uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy; zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

— Tatulu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

— To je rzuć!

— Dyć się przydadzą.

— Nie przydadzą się.

Nagle ujrzawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął z wściekłością:

— Rzuć, bo cię zabiję!

Tą razą usłuchała przestraszona i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze:

— „Kiej tak, to niech tak będzie!“ — potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistrze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, wydostali się na wielkie pomosty, oparte na palach; przeszli około budynku z napisem: „*Sailors,s asilum*“ (wym. *Selors azylom* — schronisko marynarzy) i zeszli nad samą wodę. Budowali w tem miejscu nowy dok. Wysokie rusztowania do zapuszczania palów wysuwały się daleko nad wodę, a między deskami i belkami kręcili się ludzie, zajęci przy budowie. Marysia doszedłszy do kupy belek, siadła na niej, bo nie mogła iść dalej; Wawrzon w milczeniu koło niej.

Godzina już była czwarta po południu. Cały port wrzał życiem i ruchem. Mgła też opadła, a pogodne promienie słońca obrzucały światłem i miłosiernem ciepłem dwoje nędzarzy. Z wody szło tchnienie wiosny na ląd, rzeźwe, pełne życia, wesołe. Naokoło tyle było błękitu i światła, że aż oczy mrużyły się pod ich nadmiarem. Toń morska w dali zlewała się wdzięcznie z niebem. W tych błękitach bliżej środka portu widać było sterczące spokojnie maszty, kominy i chorągiewki, falujące lekko od powiewu. Na widnokręgu okręty płynące do portu zdawały się iść jakby w górę. lub jakby z pod wody wysuwać. Porozpinane i wydęte ich żagle w kształcie chmurek, całe w promieniach, lśniły oślepiającą białością na lazurze wodnym. Inne statki odchodziły na ocean, pieniąc za sobą wodę. Szły w stronę, gdzie leżały Lipińce, więc dla nich dwojga utracone szczęście, więc dola lepsza, więc uspokojenie. Myślała też sobie dziewczyna, czem mogli tak bardzo zgrzeszyć, co przeciw Panu Bogu uczynić, że On, taki miłościw, od nich samych tylko odwrócił oblicze swoje i zapomniał o nich wśród obcych ludzi i rzucił ich na ten brzeg daleki. Toć w Jego ręku było wrócić im szczęście. Tyle przecie statków odpływa w tamtą stronę, a odpływa bez nich. Zmęczona, biedna myśl Marysi jeszcze raz poleciała w stronę Lipiniec i Jaśka koniuchy. Czy tam myśli o niej? czy o niej pamięta? Ona pamięta, bo w szczęściu się tylko zapomina, w niedoli zasię, w osamotnieniu, myśl tak obwija się koło ukochanych, jak chmiel koło topoli. Ale on? Może pogardził dawnem ukochaniem i swaty już posłał do innej chałupy. Przecieby mu nawet wstyd było myśleć o takiej nędzarce, która prócz wianka, prócz rucianego, nic nie ma na świecie, i po którą, jeśli kto przyszle swaty, to chyba śmierć.

Ponieważ była chora, więc głód nie dokuczał jej bardzo, ale z męki i osłabienia sen ją ogarniał, powieki zamykały się na oczach a wybladła twarz chyliła się na piersi. Chwilami budziła się i otwierała oczy, potem przymykała je znowu. Śniło się jej, że błądząc po jakichś rozpadlinach i przepaściach, wpadła, jak owa Kasia z chłopskiej piosenki, w „Dunajec głęboki“ i zaraz usłyszała wyraźnie jakby dalsze śpiewanie:

> Zobaczył to Jaśko na wysokiej górze,
> Spuścił się do Maryś po jedwabnym sznurze;
> Ale sznur był krótki, z łokieć go nie staje:
> Marysia nieboga warkocza dodaje.

Tu nagle zbudziła się, bo zdało się jej, że warkocza już niema i że leci w przepaść. Sen pierzchnął. Nie Jaśko siedział przy niej, ale Wawrzon, i nie „Dunajec“ było widać, ale port nowo-yorski, warfy, rusztowania, maszty i kominy. Znowu jakieś okręty wypływały na pełnię i z nichto właśnie dochodziło śpiewanie. Cichy, ciepły, pogodny wieczór wiosenny zaczynał czerwienić się na wodzie i na niebie. Toń stała się zwierciadlaną, każdy okręt, każdy pal tak odbijał, jakby drugi był pod spodem, i ślicznie było naokoło. Jakaś szczęśliwość i ukojenie wielkie rozlane były w powietrzu; zdawało się, że cały świat się raduje, tylko ich dwoje było nieszczęsnych i zapomnianych; robotnicy zaczęli wracać do domów, tylko ich dwoje nie miało domu.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe postanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Ktoby na nią spojrzał, tenby się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu,

a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem, dopiero gdy nastała noc, gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

— Pójdźwa, Maryś!

— Dokąd pójdziewa? — spytała sennie.

— Na one pomosty, nad wodę. Położywa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na końcu którego znajdował się pokład z desek za nim zaś taran do zabijania pali. Na tym pomoście pokrytym daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jego kraniec, Wawrzon rzekł:

— Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się na deski, i mimo, że zaraz opadły ich roje moskitów[1]), usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

— Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tem wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

— Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej głos starego chłopa ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

— Dziewczyno! Już tobie głodem dłużej nie mrzeć. Nie pójdziesz-że ty pod ludzkie progi o chleb prosić, nie będziesz-że ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

W ciemności nie mogła go dojrzeć,' choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

— Utopię ja cię, niebogo i sam się utopię — mówił dalej. — Niema poratowania dla nas, niema miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej, niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała ośmnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń do śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdrygnęła się do głębin na myśl, że będzie leżała topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb i gadów, na dnie szlamistem. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec, mówiący tak w ciemności, wydał się jej jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

— Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

— Nie chcę, tatulu, nie chcę! — wołała Marysia. — Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty! zlitujta się nademną. Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się jak kleszcze: ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

— Zlitujta się! miłosierdzia! miłosierdzia! jać dziecko wasze, jam biedna, chora: mnie i tak niedługo na tym świecie. Mnie żal! ja się boję!

Tak jęcząc, czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł w obłęd: zaczął rzęzić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza i ktoby stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośne oddechy i szamotanie się i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym wdzień nawet, prócz robotników nie bywało nikogo.

— Zmiłowania! zmiłowania! — wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wył w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Nakoniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z pomostu, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisła nad wodą.

Chłop pochylił się i, straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa przelatywał jej przez głowę nakształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żórawia, wyjazd, okręt, burza, litania, nędza nowo-yorska: nakoniec co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tego tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! to Jaśko tam stoi, Jaśko

---

[1]) *Moskity* — gatunek komarów bardzo dokuczliwych.

wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej. Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: „Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku!“ Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: „Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!“.

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychały ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia, spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu; ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem i że szlochanie głuche, żałosne, wstrząsa nim i rozrywa mu pierś.

— Maryś — ozwał się wreszcie przerywanym przez łkanie głosem — odpuść mi dziecko...

Dziewczyna poszukała pociemku jego rąk i, przytuliwszy do nich swoje biedne usta, wyszeptała:

— Tatulu! niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świtała na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny, i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżyca odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczółek złotych, i spływają po promieniach aż do niej, szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnymi głosami:

— Dziewczyno umęczona, spokój tobie! ptaszyno licha, spokój tobie! kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały na nią kielichy lilij białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

— Sen tobie, dziewczyno! sen tobie! sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Noc mijała i jęła blednąć. Dniało. Świtanie pobieliło wodę. Maszty i kominy zaczęły się wychylać z cienia i jakoby przybliżać; Wawrzon klęczał już schylony nad Marysią.

Myślał, że umarła. Wysmukła jej postać leżała bez ruchu; oczy miała zamknięte, twarz bladą jak płótno z sinawym cieniem, spokojną i zmartwiałą. Napróżno stary wstrząsał ją za ramię: ani drgnęła, ani nie otworzyła oczu. Wawrzonowi zdawało się, że i on chyba umiera, ale przyłożywszy jej rękę do ust, poczuł, że oddycha. Serce w niej biło, choć słabo; zrozumiał jednak, że może umrzeć lada chwila. Jeśli z tumanu porannego wynurzy się dzień pogodny, jeśli słońce ogrzeje ją, to się obudzi; inaczej nie.

Mewy zaczęły krążyć nad nią, jakby o nią stroskane; niektóre siadały na pobliskich słupach. Mgła ranna rozstępowała się zwolna pod tchnieniem zachodniego wiatru; powiew ten był wiosenny, ciepły, pełen słodyczy.

Potem weszło słońce. Promienie jego padły naprzód na szczyty rusztowania, potem, schodząc coraz niżej, rzuciły swoje złote światło na martwą twarz Marysi. Zdawały się ją całować, pieścić i jakby utulać. W tych blaskach i w wianku jasnych włosów, porozwiązywanych od nocnej walki i wilgoci, była to twarz poprostu anielska; bo też Marysia była już prawie aniołem przez swoją mękę i niedolę.

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę, mewy, kręcąc się wiankiem, krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić. Wawrzon, zdjąwszy sukmanę przykrył nią jej nogi i nadzieja zaczęła mu wstępować w serce.

Jakoż siność ustępowała zwolna z jej twarzy, policzki poróżowiały lekko, uśmiechnęła się raz i drugi, nakoniec otworzyła powieki.

Wówczas ten stary chłop klęknął na pomoście, podniósł oczy do nieba i łzy dwoma strumieniami popłynęły mu po pomarszczonych policzkach.

Uczuł raz na zawsze, że to dziecko, to teraz źrenica oczu jego i dusza jego duszy i jakby świętość nad wszystko ukochana.

Ona nietylko się rozbudziła, ale rozbudziła zdrowsza i rzeźwiejsza, niż wczoraj. Czyste powietrze portu zdrowsze dla niej było od zatrutej atmosfery izby. Wracała naprawdę do życia, bo siadłszy na deskach, zawołała zaraz:

— Tatulu, jeść mi się chce bardzo.

— Pójdź, córuchno nad wodę, może się tam co znajdzie — rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszli. Ale widocznie jakiś to dzień miał być wyjątkowy w dniach ich niedoli, bo, ledwo uszli kilka kroków, ujrzeli tuż koło siebie na rusztowaniu wsuniętą między dwie belki chustkę, a w niej zawinięty chleb, gotowaną kukurydzę i solone mięso. Tłómaczyło się to poprostu tem, że któryś z robotników, pracujący przy budowie okrętu, schował sobie wczoraj na dziś część swego śniadania. Robotnicy tamtejsi mają ten zwyczaj; ale Wawrzon z Marysią tłómaczyli to sobie jeszcze prościej. Kto położył tę żywność? W ich mniemaniu Ten, co o każdym kwiatku, ptaku, koniku polnym i mrówce pamięta.

Bóg!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.